

Wojtek Wojtyński (1940-2025)

Michał Szurek

Poniższe wspomnienia o Wojtku prawie w ogóle nie dotyczą matematyki. Pracowaliśmy razem przez ponad 40 lat na Wydziale (Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW) – choć przysłówek „razem” znaczy tylko tyle, że mieliśmy to samo miejsce zatrudnienia. Nie miałem z Wojtkiem wspólnych, a nawet zbliżonych zainteresowań matematycznych – chociaż w mojej, już dawno pożegnanej geometrii algebraicznej, bez grup Liego nic się nie dało. Owszem, Wojtek w przedostatnim roku życia tłumaczył mi ważne zagadnienie, nad którym jeszcze pracował i miał nadzieję rozwiązać. Pamiętam tylko, że dotyczyło operatorów zwartych, ale wyniosłem z tego niewiele więcej niż jego syn, Bartłomiej. Otóż na konsolacji po pogrzebie opowiadał on, jak to było, gdy miał siedem lat i ojciec (czyli Wojtek) rysował mu patykiem na piasku na nadbałtyckiej plaży grupy Liego. Pan Bartłomiej jest daleki od matematyki i pamiętał tylko zbitkę „grupy Liego” i to, że Lie nie był Chińczykiem. Skłoniło mnie to jednak do przemyśleń, jak ja bym to zrobił dla wnuków. Być może narysowalbym gładki okrąg, zrobił z niego kierownicę samochodu... i już mamy grupę $SO(2)$! Do następnego przykładu, czyli $SO(3)$, potrzebowalbym piłki plażowej. Gdyby wnuk zapytał „a co dalej?” zachowałbym się jak ojciec z anegdotki:

- Tato, jak działa telegraf?
- Wyobraź sobie, synku, takiego długiego kota, który ma ogon w jednym mieście, a pyszczek w drugim. Gdy pociągnie go się za ogon w jednym mieście, to miauczy w drugim.
- A jak działa telegraf bez drutu?
- Tak samo, tylko bez kota.



A mówiąc zupełnie poważnie, czy na małe i wielkie odkrycia w matematyce nie wpadamy właśnie w ten sposób? Wszystko tak samo, tylko nagle kot okazuje się niepotrzebny!

Wojtek miał wiele zainteresowań. Najważniejsze poza matematyką to góry, ale i muzyka i... tenis. Dość często przychodziłem za wcześnie na spotkanie u niego w domu (o tych spotkaniach będzie za chwilę) i zastawałem Wojtkę na oglądaniu meczu tenisowego. Oglądał nie jak zwykły kibic piłkę nożną, czyli tępo i emocjonalnie, tylko ze znanstwem, zarówno sportowym (sam grywał), jak i od strony fizyki matematycznej. Dyskutowaliśmy nad techniką zagrania na przykład dropszota albo liftowanego loba. Obaj zgadzaliśmy się, że po prostu przyjemnie jest popatrzeć, jak zawodowcy wykorzystują efekt Magnusa! Któregoś razu zapędziliśmy się w jakże matematyczne uogólnienia! Pamiętam, że gdyby inni goście się spóźnili, to dopracowalibyśmy reguły gry w tenisa w trójosobowych zespołach – i to dwiema piłkami

jednocześnie!!! Byłoby to bezsprzecznie nowatorskie na skalę światową! Zgodziliśmy się, że muszą tu ingerować działania grup permutacji Σ_n , może tylko dla $n = 2$ i $n = 3$. Następnie, że ważne będą zależności między wielokrotnościami liczb 2 i 3, a zatem może nawet... komat pitagorejski. Przypomnę, że taki komat jest różnicą między 7 oktawami a 12 kwintami skali nietemperowanej. Dla muzyków jest to odróżnienie *des* od *cis*. Dla nas, matematyków – to stosunek 3^{12} do 2^{19} .



Na wspomnianej konsolacji syn wspomniał, że Wojtek miał też pewną „antypasję” – automobilizm. Miał samochód i prawo jazdy. Jeździł, owszem, uważnie i bezpiecznie (co wiem z autopsji), ale jakoś tak po swojemu. Często miał drobne stłuczki, często błędził po mieście, a cała ta jeżdżąca maszyna go nie interesowała. Tu pasuje historia, którą opowiadał. Było to w 2022, może w 2023 roku. Zapomniał, że do baku samochodu trzeba od czasu do czasu wlewać benzyny i utknął gdzieś na

Powiślu. Nie miał też przy sobie telefonu. Prosił przechodniów, by pozwolili mu zadzwonić po pomoc, no i zawiadomić żonę, że nic się nie stało (wtedy już miał kłopoty z nogami), ale nie wróci o czasie. Dopiero szósta, czy siódma a może ósma osoba się zgodziła. Była to Ukrainka, z wojennej emigracji. Wojtek zaproponował, że w ramach podziękowania zaśpiewa jej piosenkę po ukraińsku. Była to znana, nastrojowa i głęboko symboliczna dla Ukraińców *Пісня про рушник*. Pięknie wykonywał ją Bernard Ładysz. Wyobraźmy sobie scenerię: Solec, popołudnie, dużo ludzi, a Wojtek przy unieruchomionym samochodzie śpiewa: *І в дорогу далекоу ти мене на зорі проводжала...* Ukrainka stoi i płacze.

No, to jeszcze jeden obrazek. Tatarnicy lat 50. i 60. zeszłego stulecia z upodobaniem śpiewali ludowe piosenki słowackie. Znaliśmy ich wiele. Gdzieś na początku tego tysiąclecia jechałem z Wojtkiem drogą w dolinie Vratnej, w Małej Fatrze. Ktoś zamachał, zatrzymaliśmy się. Był to sympatyczny „lokals”. Zaczęliśmy rozmawiać, oczywiście ogólnosłowiańskim *interlingua*. Rozmówca powiedział:

Nejsem Čech ani Slovák, jsem Moravan, z Hodonína, ale vy nevíte, kde to je?

Na to ja powiedziałem: jak to, nie wiemy? Wojtku, czy pamiętasz? I zaśpiewaliśmy, unisono, początek piosenki, znanej każdemu tatarnikowi tamtych czasów.

V Hodoníně, za vojáčka mňa vzali, moje vlásky na kraťuško strihali...

Nasz pasażer był zdumiony, ale i wzruszony. Jechał z nami krótko. Zaśpiewaliśmy jeszcze tylko czardaszową *To ta Heľpa, to ta Heľpa, to je pekné mesto* i nasz dziesięciominutowy kolega wysiadł w jakimś miasteczku, którego nazwa nie jest istotna. Zniknął nam w czasoprzestrzeni. Normalne? Tak, normalne.

Otóż to. I ja, i Wojtek byliśmy aktywnymi członkami Stołecznego Klubu Tatrzańskiego. Dawno, dawno temu był to klub nr 2 w polskim alpinizmie. *To sa už nevratí*. O większych

wyprawach Wojtka (między innymi w Pireneje) wiem niewiele. O tatrzańskich nie będę pisał. Nie były zresztą ekstremalne, ot, zwykły pociąg matematyka do Tatr – normalne w latach 1950-70, kiedy jeszcze w Tatrach można było spotkać dinozaura. Pamiętam tylko, że kiedyś spędziliśmy dwa dni (Wojtek był z żoną, Katarzyną) na Tarasówce nad Małym Cichym – skąd jest lepszy widok na Tatry niż z Głodówki i Wojtek słusznie się nim zachwyił. Natomiast przez ostatnie 15 lat spotykaliśmy się na próbach naszego klubowego „kabaretu turystycznego”. Nazwaliśmy go „Stara Robota”, wyjaśniając, że nazwa pochodzi od doliny tatrzańskiej, a nie na przykład od mediany (na występach mówiliśmy: „średniej”) wieku członków grupy. Wojtek miał charakterystyczny, głęboki bas, pełen ekspresji. Nie zawsze zwracał uwagę na melodię i rytm i właśnie za to pochwaliła (!) jego i cały zespół Sztuczna Inteligencja. Napisała, że w amatorskim wykonaniu ważniejsze jest, by wciągnąć wszystkich do wspólnej zabawy i refleksji.

Ciekawe było samo pojawienie się Wojtka w zespole. Otóż na wycieczce klubowej zgadało się, że kolega (też znany matematyk, ale ukryję go pod X.Y.) wprawdzie wykonuje pewną piosenkę, ale nie zgadza się z jej przesłaniem. W piosence tej, przywiezionej z Kaukazu w latach ciepłych kontaktów ze wspinaczami z kraju dzisiejszego agresora, alpinista budzi się przed świtem na biwaku, tuż przed niezdobytym jeszcze szczytem, na który niewątpliwie wejdą za parę godzin. Koledzy jeszcze śpią w spiworach (w oryginale: w puchowych mieszkach) i trzeba już ich budzić. Ale jeszcze chwila. Opowiada śpiwnie o swojej tęsknocie do dziewczyny (narzeczonej, żony?), która być może też nie może spać. Może patrzą na ten sam sierp księżycy? *„Gdy do ciebie wrócę z gór, zaśniesz przy mnie już.”* Otóż kolega X.Y. oświadczył, że jemu w górach nigdy kobiety nie brakowało, bo liczyły się właśnie tylko góry! Wobec tego tej piosenki nie będzie już śpiewał, bo jest wbrew niemu.

„A ja przeciwnie” – powiedział Wojtek. „Dla mnie góry są piękne, ale rodzina jest ważniejsza”. Nie powiedział tak dosłownie (zresztą już nie pamiętam), ale taki był sens.

Próby zespołu bardzo często odbywałyśmy właśnie w gościnnym domku państwa Wojtyńskich. Były dobre warunki lokalowe i wygodny dojazd dla większości uczestników, a choć to dalekie od matematyki i głównego tematu tych wspomnień, to pochwałę kolacje, która żona, Kasia, nam serwowała! A, właśnie, Wojtek dbał o dom. Coś zawsze poprawiał, umacniał, nawet przebudowywał. Mniej dbał o skądinąd uroczy ogródek.



Ale oto pewne, „matematyczne” podejście Wojtka do tekstu. Najpierw tylko wyjaśnię, że o ile melodie były zapożyczone, to same teksty są mojego (M.Sz.) autorstwa. Notabene, podkładanie nowego tekstu pod istniejącą melodię znane jest w teorii muzyki jako *kontrafaktura*, a pochodzi z okresu Reformacji. Na zdziwienie wielu słuchaczy „jak to, matematyk, a pisze teksty piosenek?” odpowiadałem powiedzeniem Steinhausa: „Matematyk robi to lepiej!”. W pewnej piosence, sławiącej smak piwa po długim upalnym dniu w górach, napisałem: *„Pierwsze łyki piwa, czyste pożądanie – to jakby z kobietą leżeć na tapczanie”*. Wojtek uparcie zmieniał „leżeć” na „siedzieć”, argumentując, że kiedy się już leży, nazywa się to inaczej. Wywiązywała się dyskusja, w której żywy udział brały i koleżanki!

Wojtek był w zespole często wykorzystywany do pomruków lwa albo niedźwiedzia w piosenkach. W jednej z piosenek wypowiadał (mówił, nie śpiewał) zdanie po węgiersku. Tekst szedł tak: „*Piosenkę naszą Węgrzy znają, zna cała Buda, cały Peszt, więc po węgiersku tak śpiewają...*” i tu Wojtek wchodził ze swoją „węgierszczyzną”, to jest ze zdaniem, którego nauczył się któregoś roku na wyjeździe nad Dunaj, a które znaczyło: „Przepraszam, czy można sprzedać prześcieradło?” O ile mogę ocenić, miał dobry węgierski akcent! Mówił to z takim zaangażowaniem, że połowa publiczności spadała z krzeseł ze śmiechu. Niewątpliwie miał pewną *vis comica*. Ale równie dobrze Wojtek wypadał (*modulo* walka z linią melodyczną, zresztą często zwycięska!) w piosenkach, które były zabawne, ale miały liryczny podtekst.

Jak widać, mimo swojej antypasji motoryzacyjnej, Wojtek daleki był od wizerunku matematyka z wciąż jeszcze odgrzewanych „sucharów”, gdzie jesteśmy z głową w chmurach, ale nieżyciowi („taki dzieckiem się nie zajmie, tylko myśli o Einsteinie”), i w ogóle z lekka fajtlapowaci.